Rok V. We Lwowie dnia 8. kwietnia 1897. Nr. 14.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata: roczna 5 zł 50 ct.
półroczna 3 „ — „
kwartalna 1 „ 50 ct.
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 5. I. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Dumania powyborcze.

Przeżyliśmy okres gorączkowego naprężenia, niespodzianek, zajść gorszących, okres pełen niesmaku, ale — pełen nauki. Niesmaku nie pozbędziemy się prędko; gorączka wyborcza w organizmie naszym pozostawiła chorobliwe ślady, do których zatarcia wiele potrzeba czasu i wiele pracy. Więc rezultat tylko ujemny? Tak, bo jeżeli jaką korzyść odnieśliśmy z akcyi wyborczej, która przybrała niebywałe u nas rozmiary i kształt niebywały, to chyba tylko w postaci nabytego doświadczenia. Rzeczą naszą, z doświadczeń poczynionych skorzystać, aby to, czego Galicya stała się widownią w r. 1897, nie powtórzyło się za lat sześć i nie powtórzyło się nigdy więcej.

Okres wyborczy minął: umysły się już nieco uspokoiły; wolno więc do wydarzeń z niedalekiej wprawdzie, ale przecie już minionej, przeszłości przyłożyć skalpel krytyki, wolno rzucić okiem nieuprzedzonem wstecz, trzeźwo i spokojnie rozglądnąć się w tem, co się działo, aby wysnuć wnioski do postępowania na przyszłość.

Jeżeli zaś uczynić to chcemy z należytą rozwagą i zastanowieniem, uprzytomnijmyż sobie przedewszystkiem, wśród jakich warunków rozegrała się ostatnia walka wyborcza.

Nikt nie może zaprzeczyć, że kraj nasz znachodzi się w chwili przełomu politycznego i ekonomicznego. W innych krajach monarchii, na zachodzie, chwila ta już minęła. Tam rzecz stanęła jasno: każdy, a przynajmniej wielka większość, wie, czego chce i dokąd dąży. Może ta świadomość jeszcze jest mętna, może jeszcze się w tym lub owym kierunku wyrobi lub uzupełni, ale ogólne zarysy przybrały już pewien kształt, stronnictwa polityczne rozumieją położenie i zdają sobie sprawę z swoich celów, wiedzą czego potrzeba i wiedzą, jakich środków się imać. Charakterystyczną cechą naszych stosunków jest niepewność, właściwa każdemu przesileniu. Jeżeli zaś tem słowem nie waham się określić ogólnego położenia w Galicyi, to w całej pełni stosuje się ono do położenia ludu wiejskiego.

Ażeby sobie stworzyć obraz dzisiejszej sytuacyi naszego chłopa, musimy się cofnąć o pół wieku, bez tego bowiem niepodobna zrozumieć, dlaczego jego dotychczasowa, przysłowiowa prawie, potulność i bierność przerzuciła się odrazu w nieokiełzaną namiętność, której wyrazem były krwawe zajścia wyborcze w Galicyi wschodniej. Nie waham się twierdzić, że z chwilą zniesienia pańszczyzny powstała między dworem a gminą, między panem a chłopem, przepaść, której bieg czasu nie tylko nie zdołał wyrównać, lecz którą owszem jeszcze bardziej pogłębiał. Chłop, wychowany od pokoleń w zawisłości dworu, z nią żyty i do niej przywykły, uzyskał nagle i bez przygotowania niezależność. Postradał oparcie — nie wchodzę w to, czy dobre i należyte — ale postradał je raptownie, a więc koniecznie potrzebował, aby tę podporę coś innego zastąpiło. Czy znalazł takie zastępstwo i w czem je znalazł? Zdaje mi się, że nie znalazł go nigdzie. Kto zna naturę ludzką, zrozumie, że podpory owej dobrowolnie nie szukał tam, gdzie ją przedtem miał przymusowo. Łączność stosunków i położenia radziły mu wprawdzie szukać jej we dworze przedewszystkiem, ale, aby pójść za tą radą, na to potrzeba było więcej inteligencyi, więcej wykształcenia, niż chłop posiadał, zwłaszcza że obawa, aby dawny stosunek zależności nie powrócił, rodziła nieufność i od dworu coraz bardziej oddalała. Potrzeba więc było wytężonej i systematycznej pracy ze strony dworów, aby chłopa tego sercem, a w razie potrzeby czynną pomocą, pozyskać i ów stosunek dawny zależności poddańczej uczynić stosunkiem sąsiedzkiej przyjaźni, opartej na poczuciu wzajemnych świadczeń dla obopólnej korzyści. Czy tak było? Zapewne, było wielu, którzy położenie pojmowali w ten sposób, jedynie racyonalny, ale większość nie dzieliła tego zdania albo, dzieląc je, nie mogła czy nie umiała według niego postępować. Wielkie obszary, których właściciele bawili bądź w stolicy kraju bądź za jego granicami, były w ręku rządców, a ci z natury rzeczy dbali więcej o dochody swego służbodawcy niż o jego stosunek do włościan. System dzierżaw rozpowszechniał się coraz więcej, a rzeczą naturalną, że dzierżawca nie wiązał się stale do ziemi, którą dzierżawił, nie liczył się z przyszłością i nie dbał o swoich chwilowych sąsiadów, lecz starał się wyzyskać swój kontrakt, ile się dało. Dobrze jeszcze, gdy tym dzierżawcą był katolik, ale niestety coraz częściej bywał nim żyd, który obok wyzysku szerzył demoralizacyą. Szlachcice jednowioskowi albo zasklepiali się w szczupłem kółku swoich potrzeb, bo i dla nich nowa sytuacya nie była lekka, albo, żyjąc nad stan, już z tego powodu nie myśleli o swoich chłopskich sąsiadach. Dodajmy do tego kwestyą serwitutów, która obie strony roznamiętniała i wskutek sprzeczności interesów coraz bardziej dzieliła, a musimy nabrać przekonania, że stosunek dworu do gminy daleki był od tego, co interesom obu odpowiadało. Nie chcę i nie śmiem twierdzić, iżby w tej mierze nie było wielu chlubnych wyjątków; ale jeżeli tylko w połowie kraju były stosunki takie, jakie określiłem wyżej, to następstwa ich odbijały się na całości, bo złe szerzy się szybciej i łatwiej niż dobre.

Drugim sąsiadem najbliższym, a zarazem opiekunem naturalnym chłopa był ksiądz. Obopólny stosunek gminy i plebanii w szóstym i siódmym dziesiątku stulecia nie był w ogóle budujący. Bolesna to stwierdzić, ale miłość prawdy tego wy-

maga. Ksiądz trzymał się od chłopa zdala: wyziębiający serca system józefiński, a we wschodniej części kraju także kłopoty rodzinne kleru unickiego były tego przyczyną. Z drugiej strony trudno pominąć, że zbliżenie się do chłopa i szczere nim zajęcie ściągało na księdza gromy potępienia ze strony sfer, które nie miały wprawdzie władzy zwierzchniczej nad klerem, ale nieraz mogły mu dokuczyć tak, że niejeden dla miłego spokoju wolał być widzem obojętnym tego, co się działo, niż zasłużyć na zarzut chłopomanii, skoro — co także bywało — nie chciał służyć za narzędzie polityki, która była mu wstrętna. Nie twierdzę bynajmniej, iżby wszyscy księża wiejscy w owym czasie tak postępowali, ale jest rzeczą naturalną, że świadoma celu i pełna poświęcenia praca choćby najliczniejszych jednostek, jeżeli nie jest częścią systematycznej całości, może mieć tylko znaczenie lokalne i chwilowe.

Niktże nie zajmował się chłopem, zapytacie, nigdzież nie znalazł przytułku i pomocy? Niestety, znachodził i poradę i pomoc pieniężną i środek do zalania robaka, a znachodził je — w karczmie. Tam za wysokim procentem, za złożeniem fantu, za przyrzeczeniem odrobku, miał kredyt, tam sprzedawał, co miał, nietylko bez zysku, lecz najczęściej ze stratą, stamtąd wychodził w najcięższych chwilach z groszem, fantazyą i sporą dawką — zepsucia.

Następstwa tego stanu rzeczy odbić się musiały tak na polu ekonomicznem jak na polu politycznem.

Galicya jest krajem rolniczym. Chłop nasz utrzymuje się przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, z dochodu swoich gruntów albo zarobku na łanach i w lasach dworskich, a tylko w niektórych okolicach ma uboczny dochód z chowu bydła lub z przemysłu domowego. Grunt, który przed laty wystarczał od biedy na wyżywienie rodziny, z biegiem czasu, podzielony i pokawałkowany, przechodził w ręce rodzin kilku lub kilkunastu i oczywiście nie mógł już stanowić podstawy ich utrzymania. Niezapobiegliwy, w wielu okolicach kraju obojętny na przyszłość, nie przewidujący i nie zbyt skory do pracy chłop, zwłaszcza ruski, nie mógł dotrzymać kroku postępowi na polu gospodarstwa i nie miał nawet środków ani możności do tego. Nowe źródła zarobku nie otwierały się, albo też chłop nie umiał z nich korzystać. Zmieniony system gospodarczy na łanach dworskich, ulepszenia wprowadzone, nowe urządzenia i maszyny, wymagały wprawdzie więcej niż dawniej rąk w pewnych krótkich okresach, ale odjęły chłopu ów stały i pewny zarobek, który miał dawniej przez rok cały. Potrzeby wzmagały się z postępem oświaty, a wobec wzrastającej drożyzny coraz trudniej było je zaspokoić. Ciężary wzrastały coraz bardziej: rosły podatki i dodatki przeróżne, powstawały coraz nowsze i cięższe opłaty krajowe, powiatowe, gminne, szkolne, drogowe, konkurencyjne, spożywcze i t. d. Brakło wszędzie funduszów na pokrycie tych przeróżnych datków. Jedyną ucieczką była lichwa: lichwa żydowska i, gorsza od niej jeszcze, lichwa chłopska gnębiła chłopa. Cóż dziwnego, że zubożały, znękany i bezradny, mimo całe przywiązanie do „świętej ziemi" jedyny ratunek widział poza jej granicami. Ale gdy trzeźwiejszy i oświeceńszy mazur ziemię swoję opuszczał chwilowo i szedł za zarobkiem, aby z napełnionym trzosem do niej powrócić, rusin-fatalista rzucał ją na zawsze i na oślep za innymi biegł do Rosyi lub Brazylii, aby tam szukać szczęścia i wybawienia. Słowem z ludu wiejskiego wytworzył się proletaryat, niepewny jutra, a na Rusi prawie bez możności dostatecznego zarobku i bez chęci do pracy.

Ta fatalna sytuacya ekonomiczna wywołać musiała u ludu wiejskiego niezadowolenie, a w dalszem jego następstwie niedowierzanie i nieufność ku każdemu, komu lepiej się dzieje. Dlaczego drugiemu lepiej się dzieje, tego chłop nie badał, sam fakt starczył do wywołania zawiści, zazdrości, a potem nieufności. Nieufnością darzono więc każdego, kto lepiej był odziany. Tak przygotowywał się grunt do waśni społecznej i politycznej.

Przed laty około dwudziestoma ocknięto się, spostrzeżono, że lud wiejski, pozostawiony sobie samemu, upada, że potrzeba się do niego zbliżyć, nim się zająć, dać mu pomoc. Praca nie była gorączkowa; jęły się jej różne czynniki; nie było jasno ułożonego systemu; były błędy i niewłaściwości: ale była nadzieja, że usiłowania złożą się zwolna w systematyczną całość i konsekwentnie dążyć będą do celu. Praca ta rozwija się od tego czasu nieustannie, ale nie wydaje tych owoców, któreby przynosić powinna, bo lud patrzy na nią okiem nieufnem, zbliżenia się unika, a to, co mu się daje, przyjmuje z uczuciem, jakie miał Laokoon z Eneidy na widok daru Danajskiego. To, co się przez lat tyle zaniedbało, nie da się tak łatwo i rychło naprawić. (C. d. n.)

Ś. p. ks. Jan Szymonowicz.

Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię. Mat. 5.

Wobec panoszącej się pychy stulecia zjawiskiem prawdziwie opatrznościowem są ludzie, którym życie upływa w ciągłym kontraście i przeciwieństwie do najgłówniejszej wady naszego wieku. Bóg posyła ich na świat nie tyle po to, aby wespół pracowali z innymi, — choć od pracy się nie uchylają — ile raczej, aby życiem swojem wyrażali cichość i rozlewali ją wokoło. Nie szukaj w nich nadzwyczajnych rzeczy i błyskotliwych czynów; w bogatej ramie jaskrawych zasług nie wydałaby się należycie ich właściwa misya: wszakże oni przedewszystkiem *cisi:* przeto Opatrzność koleje ich życia, stosunki ze światem, a nawet rodzaje ich krzyżów zaprawia jakąś nieznacznością, podobną w tem do mistrza, który do głównego momentu w obrazie dorabia tło i szczegóły uboczne.

Jednym z tych ludzi cichych był ks. Jan Szymonowicz, kanonik kapituły orm. we Lwowie, podkomorzy Jego Świątobliwości, ur. 1842, po 32 latach kapłaństwa zmarły 30. stycznia b. r., cichy w życiu, cichy w obliczu śmierci [1]). A jeśli za jego trumną szły tłumy ludzi z najwyższych i najniższych sfer; jeśli w niekłamanym żalu biadali, że zabrakło im tego, któremu zdawało się zawsze, że jest najzupełniej niepotrzebnym światu: — to wspaniały ów objaw, któremu zmarły przeszkodzić już nie mógł, był jeno stwierdzeniem słów Zbawiciela: „błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię", ziemię serc ludzkich, które przykuwają do siebie.

Sądzę, że ks. Jana misya było oddziaływać na świat przez cichość. To też sam jego widok dusze nastrajał na nutę cichości.

Przez dziwnie ścisły związek duszy z ciałem dusza wtłacza się w ciało, oddziaływa na jego zewnętrzne ukształtowanie i ugniata je na obraz swój i podobieństwo tak, że w końcu materya znakomicie oddaje właściwości ducha, dodatnie czy ujemne. Toż i pokora żłobi, nieświadoma prawie swego wpływu, ciało, jak strumień swe łożysko i dosyć jednego wejrzenia na osobę cichą, by odrazu odgadnąć gospodarza i panią domu — pokorę [2]). Poznawało się ją odrazu w ś. p. ks. Szymonowiczu, poznawało po całem ułożeniu, boć iście przesuwał się wszędy, jak gdyby nie istniał, kroki jego nie sprawiały szelestu, a postać przemykała się przez życie niby cień, otulony jakąś tajemniczą aureolą cichości. Nawet tonem głosu nie umiał on zatwierdzać siebie [3]). Nie tylko się naprzód nie wyrywał ze zdaniem, zawsze gotów raczej słuchać niż mówić, ale nigdy na słowa swoje nie kładł nacisku. Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby mowa jego była nudna; owszem okraszał ją nieraz humorem i życiem, ale owa wewnętrzna pieczęć, jaką nadaje dusza głosowi, o ile własne *ja*, bądź bezpośrednio bądź pośrednio, akcentuje, czy rozszerzając się n. p. nad własnem,

---

[1]) Dla braku miejsca nekrolog ten leżał w biurku redakcyjnem dłużej niż miesiąc. Za zwłokę (mimowolną) przepraszamy czcigodnego autora.

[2]) Ex interiori autem dispositione humilitatis procedunt quaedam exteriora signa in verbis, et factis, et gestibus, quibus id quod interius latet, manifestatur, sicut et in caeteris virtutibus accidit. *S. Thom.* 2, 2 q. 161 a. 6.

[3]) Pertinent ad exteriora (humilitatis) signa ... ut... homo non praeripiat tempus loquendi ... nec excedat modum in loquendo. *(Ibid).*

zranionem uczuciem, czy podnosząc i podkreślając własne zdanie, ów, mówię, odcisk wnętrzny duszy w głosie i jego tonie był u niego jakoby bezbarwny, bezdźwięczny, zemdlony, a właśnie dlatego, że ten człowiek przez cichość i pokorę umarł własnemu *ja*, więc i nie miał co przejawiać, nie miał po prostu pieczęci, którą się głos stempluje, ilekroć własne się nim *ja* zaznacza. Tyle co do tonu; co się tyczy treści, to o sobie mówił bardzo mało i tylko wyjątkowo. O swych pracach, kłopotach, trudnościach, zawodach, nie wspominał nigdy, nie pozwalając sobie niewinnego choćby zwierzenia.

Nie kuszę się o to, by jego pokorę na pojedynczych przedstawiać przypadkach; tam bowiem, gdzie cnota nie występuje sporadycznie, ale przenika całą istotę człowieka, tam próżnaby rzeczą było wykazywać, gdzie ona jest, — bo gdzież jej niema? Jeżeli był słodki w obcowaniu i uprzejmy, to z pokory; jeżeli nigdy nie krytykował drugich — a posiadał dar i w najgorszym odkryć jakąś dodatnią stronę, — to znowu z pokory; jeżeli nie umiał prawie nikomu swej wyższości okazać, a zniżał się do maluczkich, i to z pokory itd. itd. Cieniowanie nawet tej cnoty zakrawa tu na ogólniki.

* * *

„Miłość — powiada św. Paweł (1. Kor. 13) — cierpliwa jest, łaskawa jest: miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa“. Nie sprzeniewierzył się ks. Jan żadnemu z tych przymiotów miłości; przeciwnie każdy z osobna jakoby się wcielał w jego istotę, nieodłącznym zdawał od jego natury; a wszystkim postawą bezpieczną była jego pokora.

Cierpienia jego były liczne, choćby fizyczne tylko i lichem zdrowiem spowodowane, a przecie nic dostrzegało się w nim poruszeń „niecierpliwości“. — „Nie wzruszał się też ku gniewu“. Zmarszczki zagniewania nie było ujrzeć na jego twarzy, jak głosu podniesionego nie dosłyszeć. „Nieraz służący przekroczy wszelką miarę niezdarności, a ks. kanonik ani słowa mu nie powie“, mówił świadek bliski jego życia. — „Nie znał on zazdrości“; żadna wielkość mu nie zawadzała, a byłby był gotów każdej choćby pod stopy się skłaniać. „Ile razy, mówił mi, spotykałem ks. Kalinkę, tyle razy czułem, jak wobec ogromu jego ducha po prostu znikałem zupełnie“. — „Czci też nigdy nie pragnął“. Te godności, których dostąpił narzucono mu nieomal gwałtem i przemocą. Strój prałata, należny sobie, ubrał wszystkiego coś parę razy, gdy tego ostateczna konieczność się domagała.

„Nie nadymał się“, a raczej uniżał. Podniosę tu drobnostkę, niezbyteczną w ocenie cichości człowieka. Wielką czcią dla wszystkich, nawet najniższych, były nacechowane jego ukłony. Stanowczo za głębokie były nieraz, ale że dyktował je nie serwilizm, nie jakiś wzgląd ludzi, jeno głęboka pokora, a z niej płynąca cześć dla wszystkich, więc były w swej prawdzie i uniżeniu prawdziwie ujmujące. O nimby w tej mierze to samo powiedzieć można, co o biskupie trydenckim Tschidererze, którego kanonizacya jest w toku. „Prawdziwy kłopot mamy z Tschidererem — mówił jeden z magnatów tyrolskich, zaprzyjaźniony ze świętym biskupem — on jeszcze dotąd zdaje się nie wiedzieć, że jest księciem-biskupem i zniża się więcej, jakby to jego biskupiej godności przystało. Czyniłem mu z p. namiestnikiem poważne w tym względzie przedstawienia“. Ks. Szymonowicz podobnie w osobistem zetknięciu się z ludźmi tak występował, jakby jeszcze był zawsze najmłodszym wikaryuszem w dyecezyi. Widać, nad wymagania etykiety stawiał piękne zdanie św. Bernarda: „Możesz się uniżać głęboko, jak chcesz: przenigdy nie potrafisz upokorzyć się głębiej, niż Jezus Chrystus, który się aż do hańby uniżył krzyżowej“.

„Nie myślał też złego“ nigdy o nikim; tam tylko, gdzie obowiązek nakazywał, na złe skonstatowane powstawał i był wówczas cichy wprawdzie, ale i stanowczy.

„Nie radował się z niesprawiedliwości, ale się z prawdy weselił“. Każdy objaw dodatni w życiu Kościoła i społeczeństwa świeckiego, a także jednostek, żywo go zawsze obchodził i sprawiał prawdziwą radość. Im mniej czuł dla siebie, tem tkliwszem, tem szerszem uczuciem obejmywał wszystkich. Nieraz pokora trzymała na uwięzi słowa, któreby uczucie zdradzić mogły, lub skąpo je cedziła. Ale zbyt znów ono głębokie było i żywe, by się oku ukryć potrafiło.

„Nie szukał wreszcie swego“ ten, który i pieniądz i czas i wolę oddawał na usługi wszystkich.

Niesłychanie uczynny, wpraszał się formalnie ze swoją pomocą, nie miał zaś pretensyi do niczyjej wdzięczności, bo żywił przeświadczenie, że tem, co zrobił, sobie przedewszystkiem zrobił przyjemność. Ostatnią mszę św. w katedrze brał zawsze na siebie, a gdy go zapytywano, dlaczego to czyni, odpowiadał, że mu tak dogodniej. A mówił to z takim tonem szczerości, że niepodobna mu było nie wierzyć, choć trudno było dopatrzeć się tej dogodności, skoro wcześnie wstawał. Takich szczegółów mógłbym setki przytoczyć, bo ciche życie jego w najpiękniejszem znaczeniu wyrazu było służebnem, a każdy dzień znaczył się już drobniejszemi już większemi przysługami.

* * *

Ażeby ocenić należycie wnętrzną pracę duszy, na którą się składają Bóg i człowiek, nie jest nigdy rzeczą zbyteczną znać ów naturalny grunt, na którym ziarno łaski kiełkuje, rośnie i dojrzewa. Mam tu na myśli temperament i przyrodzone, dobre i złe skłonności duszy. Gleba ta jest już twardszą, już pulchniejszą, a w miarę tego i praca wnętrzna musi być więcej lub mniej intenzywną. Przejeżdżając np. przez Karst, widzi się w kamienistych pokładach nadzwyczaj słabą florę, jak gdyby się zaraziła martwotą kamienia. A jednak podróżny dziwi się tu olbrzymiej pracy ludzkiej, która na opoczystej pustyni każdą piędź ziemi przebojem zdobywając, iście potem czoła podlewała liść każdy. W innych okolicach można widzieć roślinność nieporównanie bujniejszą, a dla pracy z mniejszem stosunkowo jest się uznaniem: dobroć ziemi sprawiała, iż trud był niewielki, choć owoce wydatne.

Jeżeli mowa o naturalnem podścielisku cnoty, to ks. Jan należał do natur szczęśliwych. Był on z rzędu tych ludzi, co z góry nie są stworzeni dla świata, tych istot cichych, łatwych, dobrym wpływom przystępnych, działaniu łaski dających się ugniatać bez trudu w dowolne formy.

W ocenieniu postaci musi się być sprawiedliwym, musi się podnieść, co było darmo dane. Ale czy ludzie o szczęśliwem usposobieniu wrodzonem, o wychowaniu starannem, o sercu dziewiczem z naturalnego pociągu, czy ci ludzie nic do pracy nad sobą nie mają, albo przynajmniej bardzo niewiele? Nie! Pole dla pracy wewnętrznej i dla nich rozwiera się szerokie, choć rodzaj i charakter jej inny. Jestto nie tyle burzliwa walka, ile raczej cicha i w oko nie wpadająca dbałość o stały postęp w cnocie.

Wracając do ks. Jana, choć się pozornie zdawało, że to, czem był, zawdzięczał nadzwyczaj szczęśliwej naturze, to jednak w istocie pokora jego, cichość, dobroć, miłosierdzie doskonaliły się w duszy — dzięki delikatnemu, niedostrzegalnemu rylcowi wewnętrznej pracy, który ów rzeźbiarz duchowy ciągle trzymał w ręku, ciągle i ciągle nim żłobiąc. Czuwał nad sobą i naprawiał bez zwłoki każdy błąd, w sobie dostrzeżony. Raz np. mówiąc o pewnej osobie wyraził żal, że jej talent mało jest produktywny wskutek nieodpowiednio obranego kierunku zajęcia. Mówił o tem w zaufaniu do drugiego kapłana, który zarówno dobrze znał, jak ks. Szymonowicz, ową osobę. Każdy przyzna, iż w wypowiedzeniu podobnem trudno dopatrzeć się aczby lekkiej winy. Ileż sądów ostrzejszych połyka się nieraz bez skrupułu! Nie tak ks. Jan. Oto nerwowy kurcz twarzy zdradził natychmiast zaniepokojenie tej nad sobą czuwającej duszy. Należało się spodziewać, iż nastąpi retraktacya i nie każe na się długo czekać. Jakoż w istocie po krótkiej chwili ks. Jan rozmowę naprowadza znowu na przedmiot poruszony, wypowiada z całą prostotą i szczerością, iż sąd jego o tej osobie był za ostry i przedstawia ją w całkiem nowem a korzystnem nader świetle.

* * *

Pokora była ową cnotą główną, której wyrobieniu poświęcił ks. Jan całe życie.

Ks. Jan był jedynym, który w sobie pokory nie widział, przeciwnie przyznawał się do pychy i rad był niesłychanie, ile razy, zdaniem swojem, na niej się przychwytał. Oto jeden znamienny szczegół: Wiele kosztował go wewnętrznie każdy występ publiczny, a już najwięcej cierpiał, ilekroć mu wypadło włożyć na się dystynktoryum kanonika. „Zanosi się na jakąś wizytę oficyalną" — mówiono sobie, widząc zakłopotanego i zaambarasowanego ks. kanonika. Ks. Jan, podstrzegający we wszystkiem siebie, czuł doskonale własne tortury, ale nigdy nie mógł przyjść na to, w czem właściwie tkwi przyczyna jego zażenowania w podobnych wypadkach. Zwierza się raz ze swoich trudności ks. kardynałowi Dunajewskiemu. Książę-kardynał z właściwym sobie humorem powiada: „To z pychy pochodzi. Mości księże". Ks. Jan ten żart uznał za bardzo trafne spostrzeżenie. Kilka razy słyszałem go mówiącego z pełnem przekonaniem: „Jakże mię dobrze poznał ks. kardynał. Rzeczywiście nic w tem innego, tylko moja pycha: odczuwam to, jak nieszczęśliwie na mej piersi taka odznaka się przedstawia i nie mam dosyć moralnej siły, żeby podobne zawstydzenie na sobie przenieść". W jednej z chwil wyjątkowych, gdzie mówił coś o sobie, powiedział mi ks. Jan: „Przekonałem się, że mam wielką skłonność do pychy; od tego czasu zacząłem pracować nad przezwyciężeniem tej wady". Nie nad złamaniem tej wady, jak to w swej mniemał skromności, lecz nad udoskonaleniem pokory pracował ów cichy człowiek, a praca ta zdawała się prawie przechodzić w namiętność.

Nieledwie powiedziałbym, że jeśli była jaka niedoskonałość w jego życiu, to ta jedyna, że ćwiczenie w pokorze posuwał za daleko. — Nic trudniejszego w każdej cnocie jak miara. Broń mię Boże, bym powiedział, że ks. Jan stracił miarę w cnocie; byłoby to tyle, co odmówić mu wszelkiej cnoty, bo przesada jest cnoty karykaturą i skoszlawieniem. Lecz zda mi się, iż w tem ważeniu się wewnętrznem między pociągiem do ukrywania się, jaki wytwarzała pokora, a znów potrzebą dawania siebie drugim w słowie i czynie, jakiej domaga się gorliwość, on, więcej niż należy, skłaniał się do zamykania się w sobie i przez to nie wywarł takiego może wpływu, jakiego po jego gorliwości i zdolnościach słusznie można było się spodziewać.

Sprobuję to mniemanie uzasadnić uwagą ogólną o dwu kategoryach ludzi pokornych. Do pierwszej należą, którzy mają, że tak się wyrażę, pokorą uświadomioną. Znają oni nie tylko swą nicość, ale też są zupełnie świadomi udzielonych sobie tak naturalnych jak nadnaturalnych darów bożych. Tem jednem różnią się od pysznych, że zalety, w sobie dostrzeżone, do Boga z wdzięcznością odnoszą, podczas gdy pyszni sobie je przypisują. Pokora tych ludzi bynajmniej nie lęka się widoku swych cnót. Uznaje w sobie, co na uznanie zasługuje. Bo i dlaczegoż miałaby obawiać się wyznania, iż jest w niej to, co jest? Wszak ci to prawda; a prawda żadnej nie ubliża cnocie, najmniej pokorze, będącej samą prawdą. Pokora taka pozwoli nawet sercu radować się z tego co posiada; jeśli ogrodnikowi wolno cieszyć się glebą dobrą i wzrostem roślinności, czemużby duszy zabraniać powtarzania na wzór Maryi: *Fecit mihi magna, qui potens est?* Nie mąci to bynajmniej stosunku jej do Boga, owszem ożywia go i utrwala. Jako poznanie nicości własnej i nędzy prowadzi ją do Boga przez zatwierdzanie nędzy i niemocy własnej, a tem żywsze zwracanie się do ufności w Tym, który jest wszelką doskonałością i siłą: tak poznanie dodatnich stron duszy nastręcza sposobność do łączeczenia się z Bogiem przez dziękczynienie za dary, które od niego pochodzą.

Lecz wpatrywanie się w jasne strony swej duszy napotyka na trudności i niebezpieczeństwa. Jakże bowiem utrzymać się w równowadze: jak wpatrywać się w to, co duszę wywyższa, ozdabia, bogaci, a jednak równocześnie nie stracić z widoku nędzy swej, która ją brudzi i psuje? Jak chadzać we własnym blasku, a jednak nim się nie oślepić? Jak rozdzielać dalej uczucia serca, iżby nie szkodziły sobie nawzajem: tu miłość, wdzięczność, uwielbienie dla Boga, od którego wszystko co dobre, a tam znów spokojna lecz głęboka nienawiść własnego „ja", z którego wszystko złe wypływa. Jak równocześnie żyć z blasków i ciemności, karmić serce i miłością i nienawiścią, uwielbieniem i pogardą? Bezsprzecznie to możliwa ale i trudna.

I oto druga kategorya ludzi pokornych, którzy nie mniej żyją w prawdzie, lecz lękając się jaskrawego światła własnych doskonałości, jak najmniej niemi się zajmują, a za to tem natarczywiej rozpatrują ujemne strony swej duszy. Dla bezpieczeństwa wolą oni ukrywać swe zalety nawet przed sobą, aniżeli się narazić na wydanie skarbów duszy, z trudem i mozołem nabytych, na pastwę miłości własnej, nienasyconemu temu potworowi, karmiącemu się najchętniej własną cnotą.

I ci i tamci są w prawdzie, lecz jak każda cnota ma swoje pokusy, ma też je i pokora, tak w jednym jak w drugim swym okazie. U ludzi pierwszego rodzaju łatwo przejść ona może w zbytnią pewność siebie, u drugich znowu w zbyteczną bierność.

Ks. Szymonowicz był właśnie taką duszyczką cichą, nieuświadomioną i lubo w całej jego pokorze nie było sztuki, ale sama prawda, lubo żadnego śladu nie było dojrzeć przesady, toć jednak, przynajmniej wedle mego zdania zbyt on przeciągnął strunę ku niedowierzaniu sobie i ukrywaniu siebie, a za mało opierał się na tem i odkrywał to, czem drugich mógł Bogu podbijać. Posiadając umysł bystry i sąd trzeźwy, ze zbytniej pokory nie tylko lękał się wyjawić swoje zdanie, ale wprost mu niedowierzał. Przy swojem oczytaniu i zdolnościach mógłby był daleko szerszy wpływ w towarzystwach na ludzi wywierać, niż wywierał, gdyby nie pokora, każąca mu kryć się nieomal z każdym błyskiem myśli i każdym dowodem wiedzy, tak jak się inny ukrywa ze swoją niewiadomością. Sztuką trzeba było wydobywać zeń co w duszy przechowywał. Osoba, dobrze znająca ks. Jana, mówiła mi w tym przedmiocie: „Wprost nigdy się prawie nie dowiem, co sądzi n. p. o jakiejś książce; nie zaprzeczy, jeśli ją czytał, ale tak zacznie się składać i wymawiać, jakby mnie chciał przekonać, że nie wiele z niej spamiętał. Biorę się tedy na sposoby: podnoszę jakiś szczegół przeczytanej książki i rozpoczynam dyskusyę. Ks. Jan, nie wietrząc podstępu, pieznacznie daje się wciągnąć w rozmowę i dopiero odnoszę całą przyjemność, słysząc jego zdanie i przekonywam się, że on nie tylko przeczytał, ale i przemyślał całą książkę.

* * *

Także stosunek ks. Jana do Boga przedewszystkiem opierał się na pokorze. Ks. Jan nie był duszą skłonną do mistyki i kontemplacyi. Modlił się często, ale to święte zajęcie zdało się być więcej nakazane obowiązkiem jak wewnętrznym pociągiem. Lecz taki stan w sam raz odpowiadał jego pokorze. „Dusze, które się łączą ściśle z Bogiem — mówił mi raz ks. Jan — muszą się bardzo mieć na baczności, by nie wpadły w tajemną pychę; bo jeżeli już towarzystwo ludzi wysoko położonych do niej nastraja, to cóż dopiero ścisłe, bezpośrednie przestawanie z Bogiem". Tem powiedzeniem pośrednio ks. Jan odmalował siebie. On wprawdzie mistycznej łączności z Bogiem nie znał, ale ośmielę się powiedzieć, że Pan Bóg byłby jego pokorę w kłopot wprowadził, gdyby go na ten stopień zjednoczenia wyciągnął. A zapewne wolałby on stać w przedsionku pańskim, bezpieczny o swoją pokorę, jak w samym przybytku Świętych z tajemnemi poruszeniami pychy. Pokorną zawsze była jego modlitwa. Przebywając często w jego domu, mimowolnie nieraz byłem tego świadkiem. Ks. Szymonowicz, zapomniawszy, że gość jest w drugim pokoju, modlił się po swojemu, tam i sam chodząc, wysyłał raz po raz ku niebu westchnienia, a wszystkie na ton jeden duszy skruszonej i upokorzonej: „Boże zmiłuj się nademną". (Dok. nast.)

X. Teodorowicz

Jeszcze w sprawie katechizmu wiejskiego.

Pragnąłbym nie zabierać *Gasecie Kośc.* drogiego miejsca, zwłaszcza że chodzi tu raczej o „Dwutygodnik katechetyczny", który zapewne nie odmówiłby gościnności dyskussyi

tego rodzaju. Ponieważ jednak X. W. P. wolał odpowiadać w *Gazecie kościelnej*, ponieważ nadto kwestya katechizmu wiejskiego jest sprawą wielkiej doniosłości, przeto tuszę sobie, że Szanowna Redakcya raczy zamieścić krótkie wyjaśnienie omawianej materyi.

Przedewszystkiem podkreślam z przyjemnością uwagę Szan. Redakcyi, — opartą zresztą w tym wypadku na wiekowej praktyce Kościoła i na głębokich racyach wewnętrznych, — że „wydaje się niezbędnem, aby dzieci uczyły się katechizmu *na pamięć*", oraz że „postulat ten można pogodzić z równie potrzebnem oddziaływaniem na serce i wolę uczniów", jeśli się oczywiście obierze metodę poglądową, na biblii opartą, a nie metodę abstrakcyjnego rozumowania. Gdyby czcigodny oponent, który (według tego, co sam pisze) z jednej ostateczności przerzucił się w drugą, t. j. od mechanicznego memoryzowania przeszedł do całkowitego zaniechania memoryzowania, spróbował omawianej tu drogi pośredniej, i wyjaśniwszy rzecz na tle biblii, streszczał ją potem i utrwalał w pamięci we formie definicyi katechizmowych, to przyznałby niebawem, że można żądać memorowania, a przecież wpływać na serce i wolę uczniów. Dwutygodnik ogłosił już w tym względzie cenne wskazówki w życiorysie ks. Overberga, w krytycznych rozbiorach katechez i w artykule o układzie lekcyi.

„Aby się to jednak stało, katechizm musi być bardzo zwięzły", pisze słusznie Szan. Redakcya *Gaz Kość.* W artykule inkryminowanym zaznaczyłem też wyraźnie: „Słusznem bardzo jest zapatrywanie, że materyał katechizmowy, który można przerobić w szkołach miejskich, jest za obszerny dla szkół wiejskich". Dlaczegoż czcigodny oponent tę uwagę przeoczył? Chciejmyż się zrozumieć! Cel stawiamy sobie tensam, mianowicie ułatwienie i uproszczenie katechizmu wiejskiego; różnica zachodzi między nami tylko w środkach zalecanych. Jeślim dobrze zrozumiał czcigodnego oponenta, to chodzi mu o to, aby prawd katechizmowych wcale nie memoryzować, ale — dopóki ktoś nie ułoży katechizmu dla szkół wiejskich — uczyć na tle biblii przy pomocy dowolnych dyktatów. Czy tak? — Niechże mi X. W. P. nie weźmie za złe, że mu zwrócę uwagę na sprzeczność, w którą obecnie popada, bo na cóż dyktuje uczniom jakieś definicye, skoro ich wcale nie chce memoryzować? Czemuż nie poprzestaje na prostem wysnuciu prawd z biblii? Widać, że wpływ doświadczenia przeważa nad teoryami i ufam, że właśnie to doświadczenie wnet mu wykaże bezduszność dyktowania. Czegoż bowiem ma uczyć w szkole nowy n. p. wikary, który po „dyktującym" jakimś poprzedniku obejmie szkołę? Musiałby chyba pożyczać od dzieci poprzekręcanych dyktatów (bo wątpię, czy i czcigodny oponent wszystkie koryguje) i według nich kuć nowe definicye, oczywiście jeśli mu na to pozwoli wspomnienie prawa kanonicznego[1]).

To trudno! — słyszę odpowiedź; — nie może być inaczej, dopóki niema lepszego katechizmu. Przedewszystkiem zaznaczę, że lepszy jest jaki taki podręcznik, niż żaden; lepiej z opuszczaniem definicyi trudniejszych (na co plan pozwala) przeprowadzić jedność nauczania, niż dopuścić, by co parafia, ba co ksiądz, inne tworzono definicye. I tu dotknąć muszę niemiłego poniekąd punktu, mianowicie śladu widocznego nieporozumienia. Czcigodny oponent zarzuca mi, że według mego zdania „katechizm ma być *jeden* dla wiejskich szkół i miejskich", gdy tymczasem w artykule inkryminowanym stoi wyraźnie: „Katechizm wiejski powinien być tylko *wyciągiem* z katechizmu miejskiego, a podawać obszerniej naukę o Sakramencie Pokuty i Ołtarza". Owszem wskazałem, że taki katechizm, nader stosowny dla szkół wiejskich, już istnieje, że znalazł żywe poparcie na I. Wiecu katechetów, że jest nim *„Krótki katechizm"* X. Biskupa Likowskiego, którego zalety szczegółowo omówiłem. Jest to nawet uwidocznionem w tytule artykułu. Dlaczegoż czcigodny oponent ignoruje ten punkt ważny? Czyż nie lepiej byłoby przejrzeć ów katechizm i albo wytknąć, co się w nim nie podoba, albo go przyjąć, a raczej o jego przyjęcie i zaprowadzenie prosić swego Biskupa?

Sądzę, że teraz dopiero zrozumieliśmy się wzajemnie i stanęliśmy na gruncie realnym do dalszej dyskusyi. Nie widzę wprawdzie potrzeby, by i w niższych klasach miejskich miano uczyć katechizmu obszerniejszego, niż wspomniany „Krótki katechizm", bo wolę w myśl czcigodnego mego adwersarza ułatwić malcom naukę, a większy położyć nacisk na dobre przygotowanie do I. spowiedzi św. i I. komunii św., na które przy obecnym materyale katechizmowym niema czasu, ale nie widzę też konieczności skracania Krótkiego katechizmu dla wsi, a może nawet z przesadnych względów lokalnych dla każdej parafii; ograniczenia materyału, jeśli to i co do Krótkiego katechizmu miałoby być potrzebnem, dokonać może i powinien osobny, lepszy *plan dyecezyalny szczegółowy* dla szkół wiejskich, a tembardziej szczegółowy plan *miejscowy*, który sobie każdy duszpasterz odpowiednio do warunków swej parafii ułoży. Zbyteczne zaś na oko (może zresztą nie dla każdego) definicye omawianego katechizmu przydadzą się bardzo dzieciom przy nauce dopełniającej czyli tak zwanych katechezach parafialnych. Zresztą i ów Krótki katechizm za przyzwoleniem dostojnego autora doznaje już skrócenia, względnie pewnego dostosowania do potrzeb galicyjskich i da Bóg, może niebawem w dyecezyi tarnowskiej zaprowadzonym zostanie.

Wielkiej jest natomiast doniosłości myśl, rzucona przez Szan. Redakcyę *Gaz. Kość.*, że ze względu na różnorodność gwary ludu godziłoby się „zaniechać żądania, aby w całym kraju jeden tylko istniał szkolny katechizm polski". Jednolitość bowiem jest tam tylko na miejscu, gdzie są jednolite stosunki, czego jednak o wschodniej a zachodniej Galicyi wcale powiedzieć nie można. Ufajmy, że i pod tym względem zdrowy pogląd na faktyczny stan rzeczy zyska niebawem przewagę.

Kończę tem, czem rozpocząłem w Dwutygodniku (nr. 1), a co tłómaczy i niniejsze moje wystąpienie. „Artykuł (teraz powiedziałbym: artykuły) X. W. P. tchnie szczerem zainteresowaniem się sprawą nauczania i dlatego jest godzien bliższego rozbioru. Autor jego nie weźmie nam zapewne za złe, jeśli nie wszystkim wywodom jego przyklaśniemy, byle sprawa nauczania wiejskiego na tem zyskała".

R.

Czytelnia katolicka
we Lwowie.

Czytelnia katolicka rozesłała właśnie sprawozdanie za rok 1896, piąty swojego istnienia. Młoda ta instytucya, mając pięcioletni okres rozwoju za sobą, stwierdziła swą żywotność i użyteczność społeczną.

Czy zasługuje ona na dalsze, ogólne poparcie?

Na pytanie takie dzisiaj nietrudno odpowiedzieć, skoro ostatnie wypadki ruchu socyalnego u nas, skierowanemu przeciw ładowi i ustrojowi katolickiego społeczeństwa zniewoliły nas do ponurych rozmyślań na temat: co robić dalej, jak przeciwdziałać złemu skutecznie?

Mimowoli oglądamy się za jakimś punktem oparcia, gdzieby można myśli i zamiary zogniskować, skrystalizować je w czyny, a ludzi dobrej woli zszeregować dla obrony zagrożonego posterunku.

Nikt nie wątpi, że znajdują się — były bowiem zawsze, — wśród nas jednostki, zdolne i pragnące stanąć otwarcie, szczerze i wytwale przy standarze bojowym za wiarę i naród wierny Kościołowi. Lecz walka jaką społeczeństwo podjąć musi wówczas przyniesie zwycięstwo i trwałą korzyść, jeśli do niej staną nie sami wodzowie, ale liczne, karne, świadome celu zastępy całego społeczeństwa.

Wszystkich przeto ludzi dobrej woli, wszelkich stanów i zajęć, bez różnicy zasad politycznych, gorąco prosimy, by chcieli wstąpić do „Czytelni katolickiej", która stanowi poważny zawiązek katolickiej organizacyi.

[1]) Aichner (Comp. jur. eccl. ed. VI p. 513) powiada: „Neque catechistis neque parochis licet propria auctoritate aliquem catechismum in scholas introducere, cum id unice ad episcopos spectet". Owoż dyktowanie pytań i odpowiedzi katechizmowych to najoczywistsza „introductio catechismi propria auctoritate".

Z ostatniego sprawozdania podajemy niektóre szczegóły do ogólnej wiadomości.

Członków w roku 1896 posiadała Czytelnia 318.

Biblioteka, z powodu szczupłych funduszów zasilana powoli, ofiarami przeważnie członków i autorów, wzrosła do liczby 470 tomów. Czasopism i dzienników prenumerowano 41. Oprócz jednego odczytu publicznego pogadanek wtorkowych urządzono 20, których treścią były kwestye socyalne, sprawy bieżące, tematy z literatury, dziejów, podróży i t. p., zawsze interesujące i ożywione dyskusyą — Sprawozdanie kasowe wykazuje cyfry skromne; potrzeba oszczędnej gospodarki nie pozwoliła Zarządowi postarać się — jak było jego zamiarem — o lokal wygodniejszy i dostępniejszy dla wszystkich.

Jak wielu zaś pośród katolików jest obojętnych na losy Czytelni, niechaj objaśni zestawienie członków według zajęć i stanowisk. Na podaną wyżej liczbę przypadało:

Urzędników państwowych, autonomicznych, prywatnych, adwokatów, notaryuszy	94
Akademików i słuchaczy politechniki	69
Duchownych trzech obrządków	55
Obywateli miasta i kupców	38
Profesorów i nauczycieli	32
Właścicieli dóbr	22
Literatów, artystów	8

W czytelni katolickiej daną jest członkom sposobność uczestniczenia w doniosłych sprawach społecznych i humanitarnych, dowodem czego fakt, że cały ruch rozwijających się Stowarzyszeń katolickich i przedsięwzięć (np. akcya krzyżów w dnie zaduszne) w niej się koncentruje: tam działają lub działały skutecznie: Towarz. św. Wicentego a Paulo, Związek katol. Tow. i Zakładów dobroczynnych, Sodalicye Maryańskie, Arcybractwo N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej. Oddział św. Stanisła Kostki (opieki na terminatorami), komitety obywatelskie, komitet drugiego wiecu katolickiego we Lwowie.

W czytelni dojrzała myśl stworzenia Związku kraj. Tow. katol. na wzór zagranicznych; ona była widownią poważnej akcyi święcenia niedzieli w handlu, oraz święcenia niedzieli i świąt w urzędach i instytucyach publicznych.

Omawiając działalność młodej instytucyi, zdaje się nam, zwracamy uwagę czytelników nie tyle na samą Czytelnię katolicką, ile głównie na aktualną sprawę wydatniejszej i skutecznej obrony zagrożonych podwalin katolickiego życia [1]).

BIBLIOGRAFIA.

Devas Charles S. Grundsatze der Volkswirthschaftslehre. Übersetzt und bearbeitet von Dr. Walter Kampfe. Freiburg i. Br. Herder 1896, w 8-ce str. XXII. i 521. Cena 7 m.

Nazwisko Kämpfego znane jest z dzielnych artykułów w wydawanem u Herdera *Staatslexikon des Görresgesellschaft* i z opracowania dzieła Janneta o Stanach zjednoczonych Ameryki północnej. Opracowaniem angielskiej książki Devasa zaskarbił sobie wdzięczność katolików. Dotkliwie dawał się uczuwać brak gruntownego dzieła o ekonomii społecznej, napisanego w duchu szczerze katolickim. Praca Kampfego brak ten wypełnia. Jeżeli oryginał Devasa odznacza się zwięzłem a jasnem przedstawieniem głównych zasad ekonomii i zachowuje miarę w tylu spornych kwestyach, to Kampfe uzupełnił go wyśmienicie szczegółami ze stosunków austryackich, niemieckich i szwajcarskich. Całość przedmiotu podzielił na 4 księgi, omawiając w nich produkcyą i konsumcyą dóbr gospodarczych, wymianę dóbr, podział dóbr, a w ostatniej księdze, dodatkowej, ogólne zasady wydatków i dochodów, tudzież zadanie, metodykę i historyą ekonomii społecznej. Żadnej ważnej kwestyi nie pominął, wiele spraw wyjaśnił znakomicie, jak n. p. czynniki tworzenia się ceny, kwestyą pieniędzy i kredytu. W niektórych wywodach zanadto może liczy się z indywidualistycznym duchem obecnego porządku społecznego, n. p. w kwestyi spółek, w kwestyi autorytatywnego uregulowania płacy i ustanowienia ceny, w kwestyi stowarzyszeń akcyjnych i kartelów; w kwestyi waluty oświadcza się stanowczo za złotą, która pod względem ogólnego zastosowania nie wytrzymała jeszcze próby. Zdanie: „od pożyczek, udzielanych **ubogim** nie powinno się pobierać odsetków", należałoby bliżej określić, a mianowicie powiedzeć, komu przysługuje nazwa „ubogiego"; w ogóle omówienie sprawy procentu nie każdego zadowolni, choć konkluzyom trudnoby przeczyć. Na pochwałę zasługuje uwydatnianie na całem polu ekonomii społecznej zasad chrześcijańskiej etyki. Walczyć tu trzeba z wielkimi i donośnymi błędami, których skutki już teraz uczuwamy. Z tego też względu książka dr. Kämpfego ma wielką wartość i czytanie jej zalecić można każdemu, kogo kwestye społeczne zajmują.

[1]) Ktoby chciał zapisać się do „Czytelni katolickiej", zechce się zgłosić listownie albo też osobiście między godz. 6-tą a 8-mą wieczorem w lokalu Towarzystwa (Rynek l. 20, II. p.) gdzie otrzyma na żądanie statut i wszelkie wyjaśnienia. Lokal otwarty codziennie od 10-tej rano do 10-tej wieczór. Członkowie wspierający składają datek roczny w kwocie najmniej 10 złr., lub jednorazowo 100 złr., czynni 6 złr., uczestnicy 2 złr., wpisowe wynosi 50 ct.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. Nowy arcyopat w Monte Cassino, Bonifacy Marya Krug, urodził się w r. 1838 w Hesyi w Hünfeld (dyecezyi Fuldajskiej) przeniósł się wraz z rodzicami do Baltimore w Ameryce, w St. Vincent w Pensylwanii wstąpił do zakonu Benedyktynów, w młodym jeszcze wieku został dyrektorem kollegium tamecznego, niebawem przeniósł się do Monte Cassino, gdzie w r. 1864 złożył profesyą, a w r. 1888 został opatem w Santa Maria koło Cesena. Dyecezya, której każdorazowy arcyopat jest ordynaryuszem, liczy 34 gmin, 57 parafii, około 350 kapłanów i przeszło 73 000 wiernych. Siostra arcyopata, matka Teresa Krug, jest przełożoną klasztoru Benedyktynek w Chicago.

— Msgr. Merry del Val, zamianowany apostolskim delegatem w Kanadzie, liczy dopiero lat 29. ale odznacza się wielkiemi zdolnościami i zręcznością dyplomatyczną. Jako znakomity kaznodzieja ściągał do angielskiego kościoła św. Sylwestra in Capite liczne rzesze pobożnych Dotychczas był tajnym podkomorzym służbowym w Watykanie, a więc zajmował ważne stanowisko w bezpośredniem otoczeniu Ojca św. Pobyt jego w Kanadzie ma trwać tylko do zażegnania trudności, powstałych w sprawach szkolnych w Manitobie. Towarzyszy mu audytor, Msgr. Tompiani.

— Najbliższy konsystorz w celu zamianowania kardynałów odbyć się ma z końcem kwietnia. Siedmiu prałatów ma na nim otrzymać purpurę.

— Dwadzieścia już lat Leon XIII. jest głową Kościoła; a dzięki swej wstrzemięźliwości i zamiłowaniu do pracy nie zużywa się. Pochodzi z dzielnego rodu, w którym długowieczność jest regułą; już w czasie studyów w Viterbo okazał się w wytężającej pracy niezmużonym. Raz tylko pisał do domu, że cierpi na ból gardła, zresztą w listach jego niema wzmianki o słabości. Do zachowania zdrowia wielce mu pomaga wstrzemięźliwość. Będąc w czasie śmierci Piusa IX. kamerlengiem Kościoła św., utrzymywał się wraz z służącym w Watykanie za 1 złr. 50 ct. dziennie. Później jako papież powiedział raz całkiem otwarcie, że dziennie nie potrzebuje więcej na życie jak 1 lirę (50 ct.); bez wina Bordeaux, dodał, bo to otrzymuję darem. Msgr. Kneipp. który na zlecenie ś. p. kardynała Monaco ordynował Ojcu św. swe „zabiegi", powiedział: „Ojciec św. jest istotą prawie niematerjalną, ma tylko nerwy i mięśnie i jest niesłychanie żylasty". Gdy go położenie Kościoła smutkiem napełni, odpędza go pracą i poezyą, w której równie jak Wergili jest melodyjny. Wobec niemożliwości opuszczenia Watykanu nazwać można szczęściem, że Leon XIII. nie czuje potrzeby zmiany miejsca lub rozrywki, lecz przez dzień cały z niewyczerpaną cierpliwością oddaje się rządom Kościoła i swym pracom literackim. Gdy ma pracę bardzo ważną,

wydarza się, iż nad biurkiem usypia i dopiero rano budzi się, gdy czas na Mszę św. Leon XIII. sypia tylko trzy godziny. Swą władzą papieską raduje się, bo ona pozwala mu czynić wiele dobrego. Troszczy się nawet o drobiazgi. Sprzedaży oliwek z Watykanu poświęca poniekąd tyle uwagi, ile ciężkim rokowaniom z jakim mężem stanu. Jest papieżem, filozofem, poetą, władcą i finansistą, słowem specyalistą we wszystkiem. Jak Sykstus V. umie cenić wartość pieniędzy i jest bardzo oszczędny, ale zarazem rozrzutny, gdy chodzi o nowe zakłady religijne, naukowe i dobroczynne. Po śmierci sekretarza stanu Jacobiniego chciał nareszcie zaszanować swoje zdrowie i wybrał oddanego sobie całem sercem kardynała Rampollę na sekretarza stanu, darząc go pełnem a zasłużonem zaufaniem. Wnet jednak począł prowadzić sprawy pontyfikatu jak dawniej. Od tego czasu oddał się także nowym sprawom, kwestyi społecznej i robotniczej, politycznemu kierownictwu katolików francuskich, zjednoczeniu Kościołów. Z przybytkiem lat wzrasta u niego zapał do przeprowadzenia wielkich zamiarów. Jeżeli 60 lub 70-letni kardynałowie proszą go o dzień urlopu, Leon XIII powiada z uśmiechem nieco ironicznym: „ci młodzi ludzie nie umieją pracować“. Niejeden z współpracowników papieża zaszkodził swemu zdrowiu, chcąc Ojcu św. dotrzymać kroku. Sekretarz stanu Jacobini w tygodniu miał tylko niedzielę wolną, którą przepędzał w swem miejscu rodzinnem Genzano. Jego następca Rampolla raz tylko wydalił się po za Rzym — z powodu śmierci matki. Dr. Lapponi, lekarz przyboczny Ojca św., rzekł raz do niego: Mamy nadzieję, że Wasza Świątobliwość obchodzić będzie dwudziestopięcioletnią rocznicę wstąpienia na tron“. — „Uczynimy, co będzie w naszej mocy“, odrzekł Ojciec św.

Szwajcarya. Katolicki kongres naukowy w Fryburgu będzie jednem z najwspanialszych i najbardziej zajmujących zebrań tego rodzaju. Przeszło 200 wykładów o przedmiotach naukowych zgłoszono, a wszelkie działy umiejętności będą zastąpione: religia, filozofia, prawo, nauki społeczne, matematyka, fizyka, biologia, sztuka chrześcijańska i t. d. Przybędą znakomici przedstawiciele nauki z wielu krajów: Anglii, Irlandyi, Stanów Zjednoczonych, Francyi, Hiszpanii, Włoch, Austryi, Niemiec i Belgii. Można spodziewać się, że kongres będzie stanowił epokę w dziejach umiejętności chrześcijańskiej.

Francya. Rojaliści, niezadowoleni tem, że intrygami swojemi doprowadzili do zakwestyonowania i prawdopodobnego unieważnienia wyboru w Brest, gdzie przeciw rojaliście przeszedł ks. Gayraud, żądali niedawno, aby kardynał-arcybiskup paryski księdzu Gayraud zakazał głosić kazania pasyjne w jednym z kościołów Paryża. Arcybiskup naturalnie dał petentom odpowiedź odmowną. — Bazylika Serca Jezusowego na Montmartre nie jest wprawdzie kościołem parafialnym, z niej jednak parafie paryskie czerpią życie i natchnienia. Idą z niej ciepłe promienie życia religijnego, które w Paryżu mimo górujące pogaństwo znaleść jeszcze można. Bazylika karmi głodnych, przyodziewa nagich, nieumiejętnych naucza, budzi postanowienia szlachetne, częstokroć heroiczne. Tak n. p. niedawno strażnik policyjny chciał aresztować wrzekomą żebraczkę, która w ubogiem ubraniu szła ku bazylice; czyniąc jednak zadość wyrażonemu życzeniu, pozwolił jej pomówić z O. Lemins. Przywołany kapłan mniemał także, że ma przed sobą żebraczkę i zapytał, czegoby sobie życzyła. Zamiast odpowiedzi wręczyła mu zwitek, zawierający kilkanaście tysięcy frankówek, poczem rzekła: „Zaoszczędziłam je sobie od lat 20, a teraz Ojcu oddaję“. Zapytana o imię, nie chciała go podać, mówiąc: „Bóg wie, kto jestem i to mnie wystarcza“.

Anglia. O rozpoczynającej się 20 czerwca b. r. Lambeth Conference pisze *Catholic Times*: Zgromadzenie, na które zaproszono także biskupów anglikańskich z Kolonii brytyjskich, ma być naśladownictwem soboru ekumenicznego. Jednym z pierwszych punktów ogłoszonego właśnie programu jest organizacya kościelnej społeczności anglikańskiej. Stanowczej i otwartej nie można odmówić cechy apostolstwa *Church of England*, jak tym punktem programu. Jeżeli Kościół anglikański według woli Chrystusa jest owym jedynym, prawdziwym Kościołem, który ludom i narodom ma głosić prawdy zbawienia, jakże być może, aby do r. 1897 nie był zorganizowany, aby do dziś nie wiedział, gdzie szukać owego jasnego i autorytatywnego głosu, któryby ręczył, że dotychczas głosił prawdę? Dotychczas nikt nie wie, jaki jest stosunek prymasów i arcybiskupów do stolicy w Canterbury. Nikt nie wie nawet, jakiem jest stanowisko i zakres działania *Lambeth Conference*, mającej stanowić o Kościele anglikańskim. Według własnego przyznania członkowie konferencyi nie znają jej stanowiska, ani zakresu działania. — Jednym z punktów programu jest „stanowisko społeczności klasztornych wobec episkopatu“. Najpierw Kościół anglikański tępił klasztory ogniem i mieczem — teraz, u schyłku XIX. wieku, odkrywa, że klasztory są pożyteczne i podaje konferencyi pytanie, czy biskupi mają władzę nad klasztorami, czy nie. — Ciekawy również jest wniosek o utworzenie rady centralnej i trybunału sprawozdawczego. Arcybiskupa w Canterbury zamierzają postawić na czele tej instytucyi. Z tem jednak większość anglikanów tem mniej się zgadza, że dotychczas żaden z biskupów w Anglii władzą taką się nie cieszył. *The Rock* oświadcza już dziś: „z podwyższenia stanowiska arcybiskupa nic nie będzie“. Ponieważ Pismo św., które według zasady protestanckiej ma być jedyną podstawą wiary, w łonie anglikanizmu oddawna już stało się przedmiotem wątpliwości, niektórzy, zdrowiej myślący biskupi anglikańscy wzdychają do stworzenia najwyższej władzy nauczycielskiej, jaką ma Kościół katolicki. Chcą nas w tem naśladować, jak w wielu innych rzeczach. Ale napotykają przeszkodę nie do pokonania: jedność kościelna pod wspólną głową widomą jest wyłącznym przywilejem społeczności, ustanowionej przez Chrystusa a rządzonej przez zapowiedzianego i zesłanego Ducha św. Przypominamy tu fakt, że ze zrozumiałych powodów tylko Canterbury i York odpowiedziały na bullę Leona XIII. a to pismem, które zmarły arcybiskup dr. Benson ułożył tuż przed śmiercią. Gdyby Canterbury i York chciały były ułożyć wspólną odpowiedź wraz z innymi biskupami, byłyby tego nigdy nie dokazały. Są bowiem między biskupami tacy, którzy w ogóle nie wierzą w kapłaństwo i tacy, którzy raczej trzymają z papieżem. Dlatego *Catholic Times* na pytanie: w czyjem imieniu biskupi przemawiali, odpowiada: nawet nie w imieniu biskupów swego kraju.

Ameryka. W dniu 22. lutego b. r. zmarł w St. Paul (Minnesota) dr. Tomasz Grace, dawniej biskup tameczny. Urodzony w r. 1814 w Charlestown, odbył studya w Rzymie i w r. 1839 otrzymał święcenia kapłańskie. Po śmierci pierwszego biskupa w St. Paul, Msgra Józefa Cretin, w r. 1857 został jego następcą. Już po latach 16 życie katolickie w dyecezyi tak się rozwinęło, że prosił Piusa IX. o koadjutora i otrzymał go w osobie Msgra Irelanda. W r. 1884 obchodził swój jubileusz biskupi, a w ośm dni później zrezygnował na rzecz swego koadjutora. W r. 1889 Rzym odszczególnił go nominacyą na arcybiskupa tytularnego, aby go zrównać z następcą, którego już w r. 1888 wyniesiono do godności arcybiskupiej. Arcybiskup dr. Grace po rezygnacyi pozostał w St Paul i zachował uczucia ojcowskie dla swego następcy, który był jednym z pierwszych wychowanków seminaryum, założonego w St. Paul przez biskupa Cretin. Dziś seminaryum to, dzięki wspaniałości „króla kolejowego“, Mr. James Hill, protestanta, mającego rodzinę katolicką, należy do najwspanialszych na świecie. Odbudował on to seminaryum, obdarzył je wspaniałym parkiem i uposażył kwotą $2^1/_2$ miliona dolarów. W seminaryum są uczniowie wszelkich narodowości, każdy z nich ma dwa pokoje: pokój do nauki a obok sypialnię.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obrz. łać.

Kanoniczną instytucyą otrzymali: ks. Wojciech Sołtys na probostwo w Buszczu, ks. Ludwik Weiss na probostwo w Złotnikach.

Zmarł dnia 30. marca b. r. w Bełzie ks. Piotr Kaszowicz, ur. 1865, ord. 1890. *R. i. p.*

Zmarła S. Marya Anuncyata, Wiktorya Łada, Kongregacyi SS. Franciszkanek Przenajśw. Sakramentu w 62 roku życia a 39 profesyi zakonnej. *R. i. p.*

Dyecezya przemyska.

Zamianowany ks. J. Steliński, wik. w Dynowie administratorem w Dylągowej.

Przeniesiony ks. M. Gardziel, administr. w Dylągowej jako wikaryusz do Dynowa.

Dyecezya tarnowska.

Przeniesieni księża wikaryusze: Kazimierz Kozak z Tymowej do Jurkowa, Bartłomiej Łaś z Bobowej do Tymowej;

ks. dr. Władysław Mysor po ukończonych studyach w Rzymie przydzielony do Kolbuszowej.

Zmarli: ks. Tomasz Pociłowski, proboszcz w Łącku, emer. dziekan, jubilat, w 78 roku życia a 53 kapłaństwa. ks. Paweł Wołek, proboszcz w Podolu w 42 roku życia a 16 kapłaństwa. *R. i. p.*

Administratorem parafii w Podolu ustanowiony ks. Wojciech Zabawiński, wikaryusz z Zakliczyna.

Konkurs na probostwo w Łącku rozpisany z terminem do 5. maja, na probostwo w Podolu do 1. maja b. r.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.